świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 53 (1627) Warszawa, wtorek, 4 lipca 1967 r. Cena 50 gr

Rzeczny statek -olbrzym

W Związku Radzieckim buduje się największy na świecie statek rzeczny. Tonaż — 10 tyś. DWT, długość — 140 metrów. Statek przeznaczony jest do żeglugi na dużych jeziorach, rzekach i morzach wewnętrznych.

Ile jest zapachów

Uczeni odkryli już ponad 100000 zapachów. Stwierdzili oni również, że lewa połowa nosa jest bardziej wrażliwa na zapach niż prawa.

Najdłuższe rośliny

Najdłuższymi roślinami na kuli ziemskiej są palmy Calamus z tropikalnych lasów Azji i Afryki. Są to palmy-liany, które przerzucają się z drzewa na drzewo i zaczepiają o nie specjalnymi kolcami na łodygach. Długość tych łodyg osiąga 200-300 metrów.

Środek Polski

Na rynku w Piątku, pow. Łęczyca — miejscowości, gdzie według wyliczeń naukowców znajduje się środek Polski, wzniesiony zostanie obelisk. Wykonają go w czynie społecznym studenci Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi.

UWAGA!

SKARB ZNAJDZIECIE W NASTĘPNYM NUMERZE

przygoda NA MORZU OCHOCKIM

JESIEŃ na Morzu Ochockim lubi płatać niespodzianki. Toteż kapitan Andrejew na wszelki wypadek zapoznał się dokładnie z komunikatem stacji meteorologicznej: „...wiatry umiarkowane z kierunków południowo-wschodnich, w porywach dość silne..." — czytał w prognozie.

— Sztormów nie zapowiadają, nie ma więc na co czekać. — Andrejew był wyraźnie zadowolony z komunikatu. Raźnym krokiem wrócił do małego portu rybackiego, w którym została jego „karawana": holownik „Alaid" i trzy barki załadowane rybami. Marynarze na widok kapitana przerwali zajęcia.

— Kapitanie, płyniemy? — rzucił któryś pytanie.

— Płyniemy! Za pół godziny wychodzimy w morze!

*

Wysłużony silnik „Alaida" pracował na półobrotach. Kapitan celowo oszczędzał staruszka, wolał płynąć wolniej, ale za to dopłynąć do celu bez awarii. A celem rejsu był port Ochock.

Podróż przebiegała najnormalniej w świecie i nic nie wskazywało, że może stać się coś niezwykłego. Tymczasem, rankiem następnego dnia, zerwał się porywisty wiatr. I fale zaczęły przelewać się przez pokład. Wydawało się czasami, że niewielki holownik pod uderzeniem któregoś z „grzywaczy" zniknie na zawsze w odmętach. „Alaid" jednak, niczym wańka-wstańka, wynurzał się i płynął dalej.

Po godzinie sztormowania wiatr niespodziewanie znikł. „Mieli rację ci z „Meteo" — pomyślał Andrejew — zapowiadali porywiste wiatry i proszę, trafili w samą dziesiątkę.

(C. d. na str. 5)

Na dobrą wróżbę kukułka kuka —

znajdzie pieniądze, kto grzybów szuka.

SKANSEN

Słowo to pochodzi z języka szwedzkiego i oznacza zespół budownictwa ludowego, skupiony dla celów muzealnych w jednym miejscu.

Pionierem etnograficznych parków (bo i tak bywają nazywane skanseny) był pewien szwedzki etnograf Artur Hazelius, a idea tworzenia skansenów narodziła się w Szwecji, w końcu XIX wieku. Pierwszy skansen otwarto w roku 1891 w Sztokholmie. Dziś w Szwecji otwartych jest 20 tego typu muzeów. Wielkie skanseny powstały też w innych krajach — Norwegii, Danii. Wielki park etnograficzny znajduje się także w Bukareszcie.

W Polsce czynnych jest 6 skansenów: **w Kiukach** pow. Słupsk, woj. Koszalin), **Sanoku** (woj. rzeszowskie), **we Wdzydzach** (pow. Kościerzyna, woj. Gdańsk) **w Olsztynku** (woj. olsztyńskie), **w Zubrzycy Górnej** (pow. Nowy Targ, woj. krakowskie)

Szósty skansen znajduje się w niewielkim **Nowogrodzie.** Jest pięknie położony nad rzeką Narwią. Fragment tego właśnie skansenu widzicie na naszym zdjęciu. Tekst zamieszczamy na str. 2 i 3.

HISTORIA LIGAWKI I WIATRAKA

GOSPODARZ nabrał powietrza do płuc. Z długiego czarnego instrumentu wydobył się głos, podobny do dźwięku fanfary, tylko trochę grubszy i dostojniejszy...

Siedzieliśmy na szerokiej ławie pod starą kurpiowską chatą. Pan Julian Świderski, stary rolnik i gospodarz tej ogromnej „zagrody", ubrany był w nieprzemakalną kurtkę i długie gumowe buty.

— Ligawka to instrument kurpiowski — zaczął. — Robiono ją z cienkich gałęzi, które skręcano na kształt wydłużonej tuby. Bardzo często ligawka miała ponad 2 m długości, a dobry grajek potrafił wycisnąć z niej od 10 — do 15 tonów. Grali na ligawce od dawien dawna muzykanci w kurpiowskich kapelach. Takich instrumentów w fabryce nie produkowano — trzeba je było robić samemu. Wyrabiano też domowym sposobem inne instrumenty. Oto perkusja zrobiona z wysuszonego świńskiego pęcherza, do którego wrzucono kilka kamyczków. Gdy potrząsamy tym instrumentem, wydobywa się z niego ni to dźwięk, ni to szelest. Dźwięk ten w towarzystwie innych instrumentów brzmi jak prawdziwa perkusja.

Ludowe rzeźby ze skansenu.

Stoimy na skarpie. Za nami na zboczu kilka kurpiowskich chat, spichlerze, obora. Starannie ułożone kamienne schodki prowadzą do góry, gdzie na małym placyku poustawiano ogromne ule, zrobione z wydrążonych pni drzew. Przed nami rzeka Narew. Widać niewielkie zakole i ujście Pisy po drugiej stronie brzegu. Pan Świderski prowadzi mnie teraz do ukrytego w drzewie domku na skarpie. Wchodzimy do izby. Widzę ludowe meble, proste zydle, stół na krzyżakach. Na półkach wykonane przez rolników-rzeźbiarzy niewielkie drewniane figurki. W domu tym mieszka pani Chętnikowa.

TE KILKA CHAT, obora, wiatrak, ule, to muzeum. Oczywiście, inne niż muzeum w mieście, ale też i eksponaty są inne. Trudno byłoby ustawić w muzealnych salach chłopską chatę, oborę albo wiatrak. A obiekty te, nie zakonserwowane, rozpadają się po prostu ze starości. Rozbiera się je i przenosi do muzeum i tu składa na nowo. Taki typ muzeum, w którym znajdują się obiekty ludowego budownictwa, nazywa się skansenem.

— Nasz skansen — mówi pani Chętnikowa — powstał w roku 1927. Założył go mój mąż, który już dziś nie żyje. Zbierał po okolicznych wsiach narzędzia rolnicze, przedmioty codziennego użytku i umieszczał je w muzeum. Stare przedmioty i narzędzia szybko wychodzą przecież z użycia. Ludzie wyrzucają je i jeśli nikt nie zainteresuje się nimi, giną bezpowrotnie. Za kilka lat wszystkie te eksponaty będą już niepospolitą rzadkością.

— W pierwszym dniu wojny Niemcy zbombardowali nasz skansen. Mąż zdołał ukryć trochę eksponatów po wsiach, ale mimo to wiele przedmiotów zostało bezpowrotnie zniszczonych. Zginęły stare kurpiowskie stroje, broń. Po wojnie trzeba było zaczynać pracę właściwie od nowa. Wyprawy do dalekich wsi przynosiły nowe eksponaty, skansen rozrastał się. Wiele pomagał mężowi w pracy pan Świderski, który zamieszkał w tym skansenie i do dziś pozostał jego gospodarzem.

Gospodarz wąską ścieżką wprowadza mnie znów do skansenu. Przy jednej z chat szczeka na nas Burek — etatowy dozorca muzeum. Etatowy, bo za pilnowanie dostaje miesięcznie 200 zł. pensji — na dobre odżywianie. Pod wiatrakiem gospodarz pokazuje mi kilkanaście niewielkich zagonów. Z lewej strony rośnie bober, a na niewielkiej deseczce ludowy wierszyk na jego temat — „Kto je bober, ten jest silny jak zuber". Na prawo rosną inne rośliny: lebioda, rzepak.

Potem oglądaliśmy wszystkie chaty. Rzeźby, ule, narzędzia rybackie, stara łódź mająca najmniej 1000 lat, warsztat tkacki, słowem wszystko co spotkać można było kiedyś w starej kurpiowskiej wsi.

CZARNI ALE CZYŚCI

Murzyni zawsze należeli do ludzi odznaczających się dużym zamiłowaniem do czystości. I tak w jednej z dawnych relacji podróżniczych podano, że mieszkańcy dzisiejszego Konga, Murzyni, należący do ludów Bantu, w okresie zdobywania tego terenu przez Europejczyków, dwa razy dziennie czyścili zęby popiołem z pewnych roślin. Ponadto również dwa razy na dzień kąpali się w gorącej wodzie, co w ówczesnej Europie należało do wielkiej rzadkości.

„PŁATEK ŚNIEGU"

Atrakcją ZOO w Barcelonie jest biały goryl o niebieskich oczach, pochodzący z Gwinei. Nazwano go „Płatkiem Śniegu". Jest to okaz tak samo rzadki, jak biały kos schwytany niedawno we Francji.

Pierścień i RÓŻA

Fantastyczna powieść Williama Thackeray'a (czyta) Tekereja) napisana sto lat temu przez angielskiego pisarza jest książką znaną powszechnie w świecie i czytaną do dziś.

Autor „Pierścienia i róży" napisał wiele książek, ale tylko tę jedną dla dzieci. Przeznaczył ją do odgrywania w pantomimie czyli w teatrze bez słów, i sam ilustrował opowieść zabawnymi karykaturami. Powieść jednak nigdy nie ujrzała światła dziennego w postaci pantomimy. Została natomiast przystosowana do potrzeb prawdziwego teatru jako pełnospektaklowa sztuka. Polskiej adaptacji scenicznej tej powieści dokonała Kazimiera Jeżewska, a warszawski teatr dla dzieci i młodzieży „Widziadło" podjął się wystawienia tej sztuki.

„Świat Młodych" uczestniczył w próbie generalnej „Pierścienia i róży", a potem został zaproszony na uroczystą prapremierę. Nim jednak zaczął bić brawo na widowni, przeprowadził kilka rozmów i poczynił szereg obserwacji, aby prześledzić drogę powstawania tego teatralnego spektaklu, poczawszy od napisania sztuki, aż do jej ostatecznego kształtu na scenie.

Jak 20 lat zmieścić w dwóch godzinach

Pani Kazimiera Jeżewska znaną jest dzieciom z całej Polski z licznych przekładów zagranicznych bajek, a także z napisanych na scenę baśni własnych. W czasach sławnego Juliusza Osterwy (aktora i reżysera) pani Jeżewska prowadziła teatr szkolny i wprowadziła na scenę wiele baśni dla dzieci. Jej „Żaki krakowskie", „Podanie o Piaście", „O Jaśku złotniku i pięknej złotniczance", „Dzikie łabędzie" czy też „Królowa śniegu" grane są do dziś w teatrach dla dzieci i cieszą się niezmiennym powodzeniem.

— Gdy sztuka jest pisana z myślą o teatrze, sprawa jest ułatwiona. Gorzej jest, gdy trzeba dokonać adaptacji powieści książkowej na sztukę sceniczną — mówi pani Jeżewska.

W powieści cała akcja rozgrywa się w przeciągu lat 20, tzn. od urodzin księżniczki Różyczki i księcia Giglia, poprzez ich dzieciństwo, wypędzenie z królewskiego dworu, tułaczkę, aż po szczęśliwy ich powrót i odzyskanie tronu. W teatrze cała sztuka trwa niecałe 2 godziny. Do mnie więc należało skrócenie całej opowieści i wydobycie z niej tylko najważniejszych zdarzeń.

— Myślę, że mimo skrótów, jakie musiały być dokonane ze względu na wymogi teatru, opowieść o Różyczce i zaczarowanym pierścieniu jest na scenie przedstawiona jasno i atrakcyjnie. Oczywiście ci,

Król Valoroso (Tadeusz Chmielewski) wraz z królową (Jadwiga Kurylukówna) i księżniczką Angeliką (Iwa Młodnicka) aż dmuchają na termometr, by opadła temperatura. Ale temperatura zarówno na scenie jak i na widowni dochodzi niemal do wrzenia. Nic dziwnego. W widowisku „Pierścień i róża" jest mnóstwo intryg i awantur.

NA SKARPIE

PAN ŚWIDERSKI otworzył drzwi wiatraka i wszedł do środka. Coś tam pokręcił, stuknął i w pewnym momencie zauważyłem, że skrzydła drgnęły. Minęła jeszcze jedna chwila i ruszyły powoli. Wiatr był spory, więc kręciły się coraz szybciej.

W powietrzu słychać było teraz głośne terkotanie trybów i szum. Gospodarz dał mi znak ręką, bo słowa i tak nie dotarłyby do moich uszu. Wszedłem do wnętrza, gdzie panował ogłuszający łomot. Wiatrak pracował. I to na takich obrotach, że bałem się trochę o ten dobrze już przecież wysłużony obiekt, mający w metryce chyba kilkadziesiąt lat.

Zabytkowa studnia-żuraw i wiatrak.

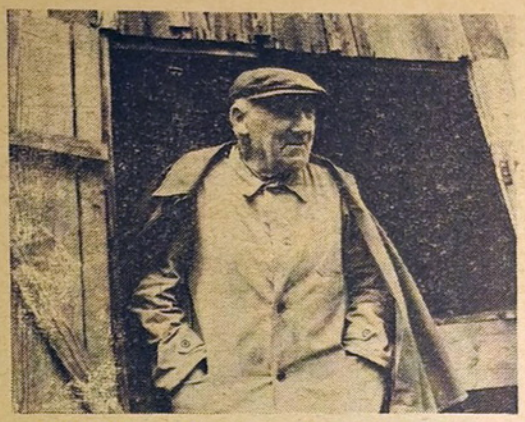

Pan Julian Świderski, gospodarz i przewodnik po skansenie.

Oglądałem po raz pierwszy w życiu kręcący się wiatrak i muszę przyznać, że to wspaniały widok. Stałem lekko oszołomiony i dopiero kiedy pan Świderski po raz drugi machnął ręką, podszedłem bliżej. Wielkie płaty drewnianych skrzydeł zwalniały tempo. Wspólnie z gospodarzem okręciliśmy teraz wiatrak trochę w prawo, żeby wiatr nie mógł już poruszać skrzydeł. Stały teraz nieruchomo, zablokowane.

— Takiego widoku pozazdrościć panu mogą dzisiejsi mieszczuchy. Czynnych wiatraków jest w Polsce bardzo niewiele. A za kilka lat te pracowite urządzenia będą już niepospolitą rzadkością. Dlatego właśnie postanowiliśmy w naszym skansenie ustawić też jeden z wiatraków. Pochodzi on ze wsi Plewki w pow. Kolno. Jeszcze do niedawna używany był przez jednego z rolników. Jest niewielki, więc służył wyłącznie dla potrzeb jednego gospodarza. Niedługo też nad samą Narwią stanie młyn wodny, który do niedawna stał nad Pisą, we wsi Dobrylas. Rozbieraliśmy go zimą na lodzie. Łatwiej było wtedy dostać się do młyna. Przeżyliśmy trochę strachu, bo kiedy lody ruszyły, pozostało jeszcze kilka nie usuniętych części, ale na szczęście wszystko udało się. Młyn nad rzeką wzbogaci nasz skansen, a dla turystów płynących woda będzie znakiem, że warto się tu zatrzymać.

*

Nietypowe to muzeum. Nie ma tu bowiem ani filcowych bamboszy, ani napisu na drzwiach, żeby zachować ciszę. Ma się wrażenie, że jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się człowiek w jakiejś starej chacie, że ogląda sprzęty, przedmioty, narzędzia, które za chwilę użyje gospodarz. Wszystko tu jest naturalne. Wszystko skrupulatnie podporządkowane głównej myśli. — Każdy eksponat musi mieć stworzone warunki w jakich kiedyś go używano. Dlatego stare naczynia kuchenne stoją na starej kuchni, dlatego krzesła stoją w prawdziwej kurpiowskiej izbie a wiatrak wygląda tak, jakby za chwilę miał mleć zboże. Nawet szczekający Burek dodaje całej zabytkowej zagrodzie tyle uroku, że zapominamy zupełnie o tym, iż jesteśmy w muzeum. A w muzeum jesteśmy przecież naprawdę.

Burek szczeka przeraźliwie. Pewnie chce, żebym się z nim pożegnał. Lecę!

Tekst i zdjęcia
WIESŁAW HUDON

---

którzy zobaczą sztukę, a nie czytali powieści, powinni to uczynić natychmiast po powrocie z teatru aby mieć pełniejszy obraz całej historii.

W co ubrać króla?

Scenograf Krzysztof Pankiewicz projektował dla sztuki dekoracje i kostiumy. Kostiumy bohaterów są obszyte złotem i kwiatami. Peruki dam dworu kunsztownie ufryzowane. Stroje wojska imponujące, wróżka prezentuje przepiękny płaszcz mieniący się srebrem. Purpurowy płaszcz królewski Różyczki obsypany jest różami. Dekoracje królewskiego dworu i oberży są proste, nawet umowne, ale za to bajecznie kolorowe.

— Nad scenografią „Pierścienia i róży" pracowałem dość długo — mówi Krzysztof Pankiewicz. — Najpierw o projektach kostiumów i dekoracji tylko myślałem. Potem rysowałem mnóstwo rysunków i szczegółów. Wiele rzeczy zmieniałem i poprawiałem. Jedno wiedziałem od początku, że kostiumy bohaterów muszę przedstawić baśniowo, a nie realistycznie. Inaczej bajka nie byłaby bajką. Stąd ten przepych strojów te złota i srebra, brylanty i pierścienie. Taki strój zdarza się tylko w bajce.

Jeżeli chodzi o projekty dekoracji, kierowałem się tu przede wszystkim zasadą prostoty. Przy takim przepychu kostiumów samo wnętrze musi być bardziej skromne.

Gdy żołnierze księcia źle maszerują

Po zaznajomieniu aktorów z treścią sztuki (odbywa się to na próbach czytanych) następują długie próby aktorskie i sytuacyjne. Po nich przychodzą próby kostiumowe i wreszcie próba prapremierowa czyli generalna.

„Świat Młodych" uczestniczył w jednej z takich przedpremierowych prób. Na scenie znajdowały się już całkowite dekoracje. Aktorzy w kostiumach znali doskonale swoje role i dialog toczył się nienagannie. Obsługa techniczna (dekoratorzy, elektrotechnicy) działała bez zarzutów. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Ale w przerwie próby zarówno reżyser przedstawienia Zygmunt Rzuchowski, jak i sam dyrektor teatru „Widziadło" — Ireneusz Kanicki — mieli jeszcze mnóstwo uwag i wątpliwości.

— Król ma za wielką koronę, która przy gwałtownych ruchach przekrzywia mu się. Należy ją poprawić.

— Żołnierze źle maszerują. Pamiętajcie, że zaczynacie od lewej nogi. Wasz krok musi być równy, rytmiczny. Takie dreptanie, jak to przed chwilą pokazywaliście, jest niedopuszczalne.

— Zmiany dekoracji odbywają się za wolno. Trzeba to robić błyskawicznie. Panowie z obsługi technicznej, nie wolno wam ruszać się tak ślamazarnie. Potem na premierę przyjdzie ciocia, stryjenka, synek, córeczka i co? Wstyd będzie tacie, że tak mu niemrawo idzie. Proszę więc jeszcze poćwiczyć te zmiany dekoracyjne.

Gdy światła pogasną na sali, gdy ucichnie gwar na widowni i zabrzmi ostatni gong, rozsunie się przed wami kurtyna i wprowadzi was w zaczarowany świat bajki. Teatr „Widziadło" w Warszawie przygotował wam tę wspaniałą niespodziankę. Będąc w stolicy na wycieczce, nie zapomnijcie odwiedzić swego teatru i obejrzeć „Pierścień i różę". Ale patrząc na to piękne widowisko, pomyślcie o twórcach, którzy włożyli wiele pracy, aby dać wam prawdziwą radość i rozrywkę.

A. WIELGOŁAWSKA

Oto wypędzona z zamku Różyczka (Wiesława Niemyska) wierząc w odzyskanie tronu mianuje warząchwią karczmarza na marszałka swego dworu.

Foto: Marek A. Karewicz

Sorobibi Chadibajewa jeszcze 30 lat temu nosiła gęstą zasłonę zakrywającą twarz. Wówczas żaden obcy mężczyzna nie śmiał ujrzeć oblicza kobiety. — Dziś Sorobibi pełni odpowiedzialną funkcję przewodniczącej Gromadzkiej Rady Narodowej, a młode dziewczęta z całej Środkowej Azji nie wiedzą już co to takiego parandża.

— Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że będą goście. Co ja wam dam do zjedzenia?

— Daj co masz. A my pójdziemy do ogrodu.

W ogrodzie było dużo pięknych róż. Kwitły granaty, morele i jabłonie.

Sorobibi zaczęła opowiadać o sobie. O tamtych trudnych latach, kiedy kobiety traktowane były jak niewolnice i późniejszych — kiedy trzeba było prowadzić ciężką walkę o prawa kobiet do wolności, do nauki, do zrównania z mężczyznami.

— Jeszcze 30 lat temu, na wsi, nie spotkałbyś kobiety z odkrytą twarzą — mówi Sorobibi. — Nosiłyśmy parandżę, czyli długie płaszcze, a twarz zakrywałyśmy cienką zasłoną — tzw. czarczafem. Są zresztą okolice, gdzie i ta zasłona nazywa się parandżą.

— **Czy tylko na ulicy zakrywałyście twarz?**

— Zgodnie z prawem proroka, żaden obcy mężczyzna nie śmiał ujrzeć twarzy kobiecej. W moim kiszlaku przepis ten dotyczył również głosu.

— **Głosu?**

— Tak! Jeśli np. byłam sama w domu i jakiś mężczyzna (znajomy ojca) zastukał, nie tylko nie mogłam otworzyć drzwi, ale nawet nie wolno mi było powiedzieć, że nikogo nie ma w domu. Zresztą, to nie było potrzebne. Wystarczyło że i ja zastukałam. Każdy wtedy wiedział, że w domu są same kobiety. Nie było więc po co zachodzić. Obcy nie zamieniłby z kobietą ani słowa

— **Ależ to straszne!**

— U nas kobiety przez wiele setek lat myślały, że tak musi już być. Tak uczono nas w domu, tego domagał się Koran, święta księga mahometan.

Kiedy miałam 15 lat ojciec sprzedał mnie za 8 wielbłądów i ileś tam owiec...

— **Sprzedał?**

— No, a jak to nazwać, skoro nie znałam i ani razu nie widziałam mego przyszłego męża, ani on mnie nie widział? Wesele było bardzo uroczyste, ale prawdę mówiąc właściwie nie brałam w nim udziału.

...Kiedy przyszedł wyznaczony dzień, drużki przybrały mnie w nowe szaty, które przedtem trzeba było lekko podeptać. Zasłonięto mi twarz gęstą zasłoną.

Wreszcie przyjechał mój przyszły mąż. Posadzono mnie na konia i tak odbyłam podróż do jego domu. Tam mąż zdjął mnie z konia i trzymając na rękach, przeskoczył przez płonące ognisko. Słyszałam okrzyki uznania, śmiechy. Potem zaprowadzono mnie do izby. Siedziałam sama w kącie. Słyszałam, jak mężczyźni biesiadowali na podwórzu. Dużo ich było. Może 500, może więcej. Osobno bawiły się kobiety.

To wszystko było straszne. Z takim życiem nie chciałam się pogodzić.

Targ w Bucharze. Wszędzie sterty jarzyn i południowych owoców. Osobne stoiska zawalone są różnymi serami, jajami i mięsem. Ale największym powodzeniem cieszą się słodycze. Na wschodzie — nie tylko dzieci — przepadają za łakociami.

Rozpoczęła się walka

ZOSTAŁAM KOMSOMOŁKĄ. Oczywiście nikt o tym nie wiedział. Ani rodzice, ani mąż. Jak co dnia wychodziłam do pracy w pole. Jak co dnia zakładałam parandżę.

ZIELONA HERBATA pachniała mocno. Siedzieliśmy w małym kantorku fermy budowlanej i rozmawialiśmy z jej brygadierem, Walentym Piotrowiczem Konstantinowem.

— Kiedy dobiliśmy tutaj, w 1923 roku, moja matka załamała ręce: „Dokąd mnie zawiozłeś — lamentowała przed ojcem — jak będziemy na tej pustyni żyli?"

Rzeczywiście. Ojciec na długo musiał zapomnieć, że jest geometrą. Trzeba było chwycić za łopatę. Kopać rowy, doprowadzić na step wodę. Mnie, małemu chłopcu, nawet tu się spodobało. Tyle piasku! Ganialiśmy z kolegami po stepie, łapali świstaki i króliki. Tylko trzeba było bardzo uważać, żeby bosą nogą nie nadepnąć skorpiona.

Mieszkaliśmy w baraku. Potem ojciec ulepił dom z gliny. Nie wszyscy jednak, którzy przyjechali z nami, wytrwali.

Zresztą po co gadać. Chodź do mojego domu, to się sam przekonasz.

Do centrum kołchozu, im. Lenina, w Komsangirskim rejonie, było ponad kilometr. Po drodze minęliśmy plantację cytrusowych drzew, potem ogrody warzywne. Wreszcie skończyła się gliniasta droga i zaczął asfalt. Weszliśmy na chodnik. W cieniu wysokich topoli, platanów i akacji stały rzędem ceglane, parterowe domki.

— Aż trudno uwierzyć — zacząłem nieśmiało — że dawniej był tu suchy, spalony step.

Gospodarz uśmiechnął się wyrozumiale:

— Moje dzieci też słuchają o tym, jak o historii sprzed setek lat.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, żona Walentego zakrzątała się zakłopotana:

Zaledwie usiedliśmy w altanie, kiedy na stole pojawiło się zsiadłe mleko prosto z lodówki, jaja, no i tradycyjna na wschodzie baranina.

Kończyłem się objadać, kiedy do ogrodu zajrzał nowy gość.

To była Chadibajewa Sorobibi, pierwsza w całym rejonie komsomołka...

Twarz zakryta parandżą

ROZMOWA ZACZĘŁA SIĘ od wzajemnych pytań. Tu wszyscy odnoszą się z dużą sympatią do naszego kraju. Znają zresztą wielu Polaków, których zawierucha wojenna rzuciła do Środkowej Azji. Poznali wielu, kiedy oswobadzali nasze wioski i miasta.

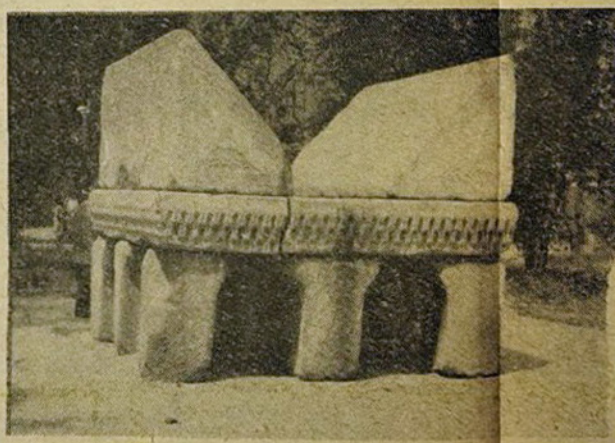

Na dziedzińcu meczetu w Samarkandzie, stoi ten kamień. Święty kamień. Dawniej wierzono, że jeśli młode kobiety pod nim przepełzną, to wtedy Allach obdarzy je wielką ilością dzieci. Dziś, w jednej dzielnicy miasta mieszka więcej lekarzy, aniżeli przed rewolucją było w całej Środkowej Azji.

KOBIETA BEZ T

OWEJ AZJI (3)

Ale teraz czułam się pewniej, nie byłam już taka sama. Potajemnie zbierałyśmy się w polu. Potajemnie przyjeżdżała do nas instruktorka z dalekiego Duszanbe, stolicy Tadżykistanu. Pierwszym naszym zadaniem było się nauczyć czytać i pisać. Od tego zależało, czy świat stanie przed nami otworem.

Po dwóch latach uciekłam z domu. Pojechałam do Duszanbe, uczyć się w szkole. Jaka to była rewolucja w oczach moich i w oczach całego kiszlaku — tego dziś nikt z was nie pojmie. Ani ty, ani nawet moja córka — Habiba. To przecież takie teraz zwyczajne, że młoda Tadżyczka studiuje. To żadna sensacja, ani dla Habiby, ani dla jej koleżanek z wioski, że pojechała do Leningradu studiować fizykę. Druga córka — Tachyr, pracuje w fabryce tekstylnej, w Leninabadzie i nadal się uczy na korespondencyjnym uniwersytecie.

Wtedy jednak... samotna kobieta nie mogła wioski opuścić, a co dopiero wyjechać do odległego miasta. Zostałam wyklęta i przeklęta. Przez rodzinę, przez męża. Rada starców stwierdzając, że przyniosłam hańbę — całej wiosce, postanowiła mnie ukarać. A taką hańbę — ich zdaniem — mogła zmazać krew.

W niedzielę, w święta, kiedy moi koledzy ze szkoły wychodzili na zabawy, na przechadzki, ja siedziałam w internacie. Bałam się nawet podejść do okna. W pobliżu, dzień i w noc krążyli po ulicach wysłannicy z mojego kiszlaku. Wiedziałam dobrze, że w obszernych fałdach chałata trzymają ukryty sztylet. Sztylet poświęcony przez kapłana. Sztylet przeznaczony dla mnie. Kilka razy ledwie uciekłam. Kilka razy uratowali mi życie komsomolcy. Kiedy skończyłam szkołę, dostałam doskonałego konia i teraz ja sama jeździłam od wioski do wioski, od kiszlaku do kiszlaku. Zakładałam koła komsomolskie. Uczyłam dziewczęta pisać i czytać. Uczyłam je nowego życia.

Spotykałyśmy się wieczorami daleko za wioską. Przy lampkach robionych własnoręcznie z gliny, z knotem ukręconym z bawełny, zapalonym przy pomocy krzesiwa, uczyłyśmy się czytać.

Nie raz, nie dwa, czyjeś tajemne ręce nacinały popręg. Nie raz i nie dwa zza węgła do mnie strzelano.

A jednak z każdym rokiem praca była lżejsza. Dawała coraz lepsze efekty.

Początkowo jeszcze jeździłam w parandżu. Inaczej wypędzono by mnie ze wsi. Ale coraz częściej zdarzało się, że zbuntowane dziewczęta publicznie paliły zasłony, mimo przekleństwa, wbrew groźbom.

To zawsze było dla mnie wielkim świętem. Piękną nagrodą za wszystko.

Sorobibi uśmiechnęła się do tamtych wspomnień. I wtedy wygładziły się zmarszczki, a jej twarz znów stała się młoda i piękna. Jak wówczas.

JERZY B. KLIMA

Łóżka na ulicy? Wcale nie. To stoły, na których się siedzi, a równocześnie je, popija kok-czaj (zieloną herbatę) i gra w kości. Zwróćcie uwagę na piękne kobierce, którymi te stoły są wyłożone.

Przygoda na MORZU OCHOCKIM

Dokończenie ze str. 1

— No, chłopcy, najgorsze mamy za sobą — zagadnął wesoło kapitan. — Jeszcze trzy godziny i jesteśmy w domu.

Nagle rozległ się krzyk wachtowego:

— Woda pod pokładem!

Kapitan, nie wydając na razie żadnego rozkazu, zbiegł szybko po schodkach w dół. Z prawej burty wdzierał się pod pokład strumień wody. Jak wielkie było przebicie, nie można już było stwierdzić, dziura znajdowała się poniżej poziomu wody.

— Uruchomić natychmiast pompy!

Każdy holownik, a szczególnie morski, wyposażony jest w bardzo wydajne pompy. Kapitan wierzył więc święcie, że uda mu się zlikwidować niebezpieczeństwo. Jednakże mylił się. Pompy pracowały na pełnych obrotach, a poziom wody zamiast obniżać, nieustannie się podnosił.

— Kapitanie, nie damy rady, przebicie jest chyba bardzo duże! — powiedział bosman.

— Sam widzę, co się dzieje! — odparł szorstko Andrejew.

— Jak długo możemy utrzymać się na wodzie? — spytał bosmana.

— Jeśli pompy będą pracować do końca, nie więcej jak 10 minut.

Kapitan wyszedł na pokład, zapalił papierosa i oparł się o kabinę sterówki. Nie wierzył już w uratowanie „Alaida", ale jakoś nie mógł podjąć decyzji opuszczenia holownika. Tyle lat już na nim pływał i teraz ma się z nim rozstać na zawsze? Wspomnienia Andrejewa przerwał nagle radosny okrzyk:

— Woda opada!

Nie wierząc własnym uszom zbiegł znowu pod pokład. Rzeczywiście, poziom wody szybko obniżał się.

— Co znowu wykombinowaliście? — rzucił pytanie, niczego nie rozumiejąc.

— Nic, jak pragnę zdrowia — zaklinał się bosman. — Pompy pracują tak jak dawniej. Kiedy obywatel kapitan poszedł na pokład, patrzę, a tu woda zaczyna opadać...

Wyjaśnienia bosmana niczego nie tłumaczyły. Zagadka pozostała zagadką do chwili, gdy poziom wody odsłonił dziurę w burcie. Zdumieni marynarze zobaczyli wówczas swoją wybawicielkę. Oto w otworze szamotała się wielka ośmiornica. Porwana prądem wdzierającej się do środka wody ośmiornica uwięziona została w otworze, zatykając go jednocześnie swoim ciałem, jak korkiem.

Jedna rzecz pozostała nadal nie wyjaśniona, a mianowicie sposób powstania przebicia. Czy dziura powstała na skutek uderzenia o jakąś podwodną skałę lub wrak? A może przebicie spowodowała jakaś wielka ryba? Wszystko możliwe. Najważniejsze, że „Alaid" nie zatonął. Jest to chyba jedyny wypadek, kiedy ośmiornica uratowała tonący statek.

STANISŁAW WIRSKI

OŚMIORĘKIE POTWORY

MARYNARZE I RYBACY opowiadają o nich historie mrożące krew w żyłach. Większość tych opowieści jest oczywiście zmyślona, chociaż — trzeba to przyznać zdarzały się wypadki, kiedy zwierzęta te potrafiły zaatakować człowieka. Mowa jest o ośmiornicach, wielkich głowonogach. Jak sama nazwa wskazuje, zwierzęta te mają aż osiem ramion. Długość ich dochodzi niekiedy do 10 m! Na ramionach ośmiornicy znajdują się dwa rzędy przyssawek. Tymi przyssawkami zwierzę przypina się do swojej ofiary tak mocno, że chcąc się uwolnić, trzeba odciąć całe ramię potwora.

Ośmiornica posiada niezwykły organ obronny w postaci gruczołu atramentowego. Jeśli zostaje zaatakowana przez silniejsze od siebie zwierzę, np. przez rekina lub kaszalota, wyrzuca z siebie czarną ciecz, która, rozprzestrzeniając się w wodzie, tworzy rodzaj dymnej zasłony, umożliwiającej ucieczkę.

WARZY

(6)

Gang z ulicy Brzeskiej

STANISŁAWA PLATÓWNA

Myślałem, że obraziła się na dobre, ale na drugi dzień przywitała się ze mną jak zwykle, a nawet spytała, czy nie poszlibyśmy całą paczką na lody. No cóż, wolałbym pójść we dwójkę z Ewą, ale skoro nie można inaczej... Na szczęście przyłączyli się do nas tylko Wiktor i Bolek, reszta gdzieś powędrowała z samego rana.

Ci dwaj są zupełnie sympatyczni, znacznie sympatyczniejsi niż Misiek i Ślusarz, nie mówiąc już o Orczyku. Chodzą do ogólniaka i o dziwo nie uważają szkoły za ciężkie przymusowe roboty. Ojciec Wiktora pracuje w Fadromie, jest podobno znakomitym tokarzem i racjonalizatorem i Wiktor puchnie z dumy, opowiadając, ile ojciec ma dyplomów, nagród i odznaczeń. Rodzice Bolka oboje pracują, ojciec w Radzie Narodowej, a matka w aptece. Wiktor jest jedynakiem jak ja, a Bolek ma dwie starsze siostry, jedna kończy medycynę, a druga zdała w tym roku na Politechnikę.

W ogóle zdaje się, że trochę niesprawiedliwie osądziłem „kozaków". Obserwowałem ich z daleka i, czego nie wiedziałem, podpowiedziała mi wyobraźnia. Z mojego okna na trzecim piętrze ta grupa zaprzyjaźnionych ze sobą chłopaków przybrała rozmiary przestępczego gangu. Tymczasem widzę, że to są zwyczajni chłopcy, trochę może rozpuszczeni, którzy na pewno robią wiele rzeczy zakazywanych przez dorosłych, palą papierosy, od czasu do czasu osuszą butelkę wina, ale tak naprawdę to nie robią nic złego.

No tak, wyzyskują młodsze dzieci, każą im spełniać różne polecenia nie zawsze łagodnie obchodząc się z nimi. Ale tak przecież dzieje się wszędzie. Weźmy choćby szkołę. Czym jest pętak z pierwszej albo drugiej klasy wobec siódmo- lub ósmoklasisty? Kompletnym zerem. Taki malec nawet nie próbuje się stawiać, najwyżej maże się gdzieś w kącie. Sam aż do czwartej klasy byłem na posługach u takiego jednego cwaniaczka, dawał mi niezłą szkołę. Odetchnąłem, kiedy zdał maturę, a potem sam sobie wybrałem „pomocnika". Co prawda nie robiłem mu krzywdy, a smarkacz był zachwycony, że dostąpił zaszczytu pilnowania mego dresu i podawania piłki, która uciekła na aut. A kiedy dostałem się do drużyny koszykarskiej i okazało się, że mam „talent" (to nie moje określenie, lecz pana od wf-u) wtedy całe stado małoletnich kibiców pętało się za mną dopraszając się, abym wziął ich do „pomocy".

Poszliśmy więc we czwórkę do miasta, powłóczyliśmy się po ulicach, Ewa oglądała wystawy, z kieckami oczywiście, potem zaszliśmy do Pedetu. Lubię chodzić po Domu Towarowym, tyle tu różnych rzeczy, wszystko można obejrzeć z bliska, nie tak jak w zwykłym sklepie. Najdłużej staliśmy przy stoisku sportowym.

Zjedliśmy po drodze lody Calipso, ale Ewa zaciągnęła nas jeszcze do „Dorotki". To jest taka kawiarenka w nowej dzielnicy, przy ulicy Grabiszyńskiej, gdzie przesiaduje przeważnie młodzież. Tam zjedliśmy jeszcze po dużej porcji lodów bakaliowych. Nie jestem skąpy, ale muszę przyznać, że trochę za dużo mnie ta wyprawa kosztowała. Drugi raz nie dam się nabrać.

W kawiarni zaczęliśmy mówić o forsie: że zawsze jej za mało, że człowiek nie ma własnych dochodów i musi się obywać tym, co dadzą rodzice. Właściwie to ja powiedziałem, a Ewa, Bolek i Wiktor popatrzyli na mnie i wybuchnęli śmiechem.

— Ale ty jesteś zielony — powiedziała Ewa.

— Nie rozumiem — poczułem się dotknięty jej lekceważącym tonem.

— On jest grzeczny — ciągnęła dalej Ewa — nie ma pieniążków, no to poprosi mamusię i mamusia da. Ach, ty frajerze, gdyby wszyscy byli tacy jak ty, można by zdechnąć z nudów i z nędzy!

— Ewa ma rację — wtrącił się Bolek — ja dostaję od ojca pięćdziesiąt złotych miesięcznie na wszystko. Dużo bym z tym zwojował.

— Mnie tata daje setkę — pochwalił się Wiktor — ale to jest betka.

— Więc jak sobie radzicie? — spytałem.

— Zarabiamy — odparła poważnie Ewa.

— W jaki sposób?

— Różnie. Przeważnie handlujemy.

— Handlujecie? Czym — nagle rozjaśniło mi się w głowie — już wiem, widziałem, że sprzedajecie puste butelki i słoiki.

— Owszem, ale to nędzne zarobki. Ile można na tym zarobić?

— Dychę dziennie. Co to znaczy, jeśli do podziału wyciąga się siedem łap — Bolek wykrzywił się lekceważąco.

— No więc co robicie? — byłem zaciekawiony, a przy tym zupełnie nie miałem pojęcia, o jakich zarobkach mówią.

— Powiedzieć mu? — spytał Wiktor.

— Nie, jeszcze nie. Szef zabronił — rzuciła ostro Ewa.

— Dlaczego? — oburzyłem się. — Nie macie do mnie zaufania?

— Za krótko się znamy. Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie.

— A teraz — wyjęła z kieszeni piękny chiński długopis i rzuciła go na stolik — może wiesz, kto by to kupił. Tanio sprzedam, za siedem dych.

Pociemniało mi w oczach. W pedecie staliśmy przy ladzie, kiedy jakiś pan oglądał takie same długopisy. Nie, to niemożliwe, przecież Ewa nie wzięła...

— Skąd to masz? — spytałem ostro.

— Co cię to obchodzi? — odcięła się.

— Muszę wiedzieć. Takie same długopisy leżały na ladzie...

— Głupi jesteś. To co z tego, że leżały? W każdym sklepie leżą.

— Ewa, nie wygłupiaj się, powiedz mu — wtrącił pojednawczo Bolek.

— Ale jakie on ma prawo mnie wypytywać — złościła się Ewa — a zresztą dobrze, powiem ci, żebyś nie wyobrażał sobie nie wiadomo co. Ten długopis dostałam od narzeczonego Krystyny. Na zakończenie roku. Potrzebuję forsy, więc chcę sprzedać. Mam zwykły długopis, wystarczy mi.

Odetchnąłem. No jasne, to prezent. Przecież taka dziewczyna jak Ewa nie mogłaby ukraść...

— Daj mi ten długopis — powiedziałem — po południu skoczę do jednego kumpla, może kupi.

— Dziękuję — uśmiechnęła się Ewa — jesteś równy gość.

Rozdział VI

Szef ma jedwabne życie

KAZEK ZWANY SZEFEM miał jedwabne życie. Taka przynajmniej opinia krążyła wśród jego „kozaków". Rodzice zajmowali najładniejsze mieszkanie w kamienicy, cztery pokoje od frontu na pierwszym piętrze. Podczas remontu, skracając korytarz i zmniejszając jeden duży pokój, uzyskano piąte pomieszczenie. Kazek więc, jedyny z całej kamienicy, miał pokój tylko i wyłącznie na własny użytek. Ojciec Kazka był cenionym i bardzo popularnym lekarzem, matka nie chcąc zajmować się gospodarstwem, pracowała w prywatnym gabinecie kosmetycznym.

Jeśli wierzyć Kazkowi, forsy w jego domu nigdy nie brakowało. Zresztą to rzucało się w oczy. Rodzice zarabiali doskonale, mieli samochód — Fiata 1300 — pięknie urządzone mieszkanie, telewizor, lodówkę, wspaniałe meble — antyki i cenne dywany. Słowem raj na życie! Ale Kazek nie był zachwycony. Wspaniały dom był zawsze pusty. Ojciec rano pracował w szpitalu, po południu przyjmował prywatnych pacjentów, matka całe dnie spędzała w swoim gabinecie. Gospodarstwo prowadziła stara służąca Wikcia. Cóż z tego, że Kazek miał wszystko, czego potrzebował, że Wikcia gotowała doskonałe potrawy i podawała je z punktualnością zegarka?

Cóż z tego, że Kazek miał aparat fotograficzny, powiększalnik, tranzystorowe radio, klasery pełne znaczków i stosy płyt? Nie miał przyjaciela, z którym przeglądałby nowe serie znaczków, wywoływał zdjęcia, słuchał muzyki. Nigdy żadnego „kozaka" nie zaprosił do siebie, za duża była przepaść między ich zatłoczonymi mieszkaniami a jego kosztownym eleganckim pokojem.

— Co wy wiecie — złościł się w duchu Kazek, gdy koledzy zazdrościli mu nowego zegarka, amerykańskich papierosów podkradanych ojcu, lub najmodniejszych włoskich butów.

Milczał, bo czy ci chłopcy, którym stale brakowało pieniędzy, których rodzice żyli od pierwszego do pierwszego", którzy mogli tylko przez szybę wystawy oglądać to, co on miał na co dzień, zrozumieliby dlaczego on, Kazek, nienawidzi swego luksusowego życia, dlaczego mówiąc po prostu, czuje się nieszczęśliwy?

Kazek był samotny. Jedynak, jako małe dziecko trzymany z dala od rówieśników, bo przyniesie chorobę, bo nauczy się nieodpowiedniego zachowania, nie miał przyjaciół ani kolegów. Rodzice, jeszcze niestarzy, byli zajęci wyłącznie własnym życiem. Ojciec pracował ciężko, „robił forsę" według określenia Kazka i dla syna nigdy nie miał czasu. Wystarczyła mu świadomość, że chłopiec jest zdrowy, że uczy się nieźle, że właściwie nie ma z nim żadnych kłopotów.

Matka... Kazek podczas rzadkich chwil, które spędzali razem, bo zawsze gdzieś się spieszyła, miał wrażenie, że jest zaskoczona widząc rosłego dryblasa. Ich rozmowy ograniczały się do krótkich pytań o zdrowie, o sprawy szkolne i ze strony Kazka do próśb o pieniądze.

Przez wiele lat Kazek przyjmował za pewnik, że najbliższą mu osobą, która zawsze ma dla niego czas i cierpliwość, jest służąca Wikcia. To ona łagodziła jego pierwsze szkolne konflikty, to w jej fartuch wypłakiwał swoje dziecinne krzywdy, to ona dbała o jego ubranie, jedzenie, spacery. To z nią wreszcie jeździł na wakacje, do jej rodziny na wieś, bo rodzice musieli porządnie wypocząć, chcieli się bawić w Sopocie, Zakopanem, Krynicy, bez kłopotliwego towarzystwa dziecka.

Cdn.

Rys. St. Roztworowski

DLA ASTRONOMÓW I ZAKOCHANYCH

Zagadka GWIAZDY POLARNEJ

WCZASIE ciepłych, wakacyjnych nocy, jest więcej okazji aby popatrzeć sobie w niebo, zadumać się nad nieskończonością Wszechświata, odnaleźć swoją szczęśliwą gwiazdę, słowem pobawić się trochę w astronoma. **WIESIEK JAGLARZ** z Wieliczki widocznie nie od dziś zajmuje się sprawami nieba, bo przysłał nam aż kilka pytań, dotyczących ruchu gwiazd. Szczególnie interesuje się Gwiazdą Polarną.

Odpowiadam na pytania: rzeczywiście, Gwiazda Polarna należy do najciekawszych i „najpożyteczniejszych" gwiazd, bowiem wskazuje kierunek północny. Ale dlaczego właśnie tylko ta gwiazda zajmuje takie uprzywilejowane położenie? Wynika to z położenia Ziemi i jej ruchu obrotowego wokół własnej osi. Przedłużona oś obrotowa Ziemi (oczywiście nie należy tego brać dosłownie, bo żadnej materialnej osi nie ma) wyznacza na niebie dwa bieguny niebieskie — południowy i północny. Oś wychodząca z bieguna północnego Ziemi trafia właśnie w Gwiazdę Polarną i dlatego ona nie bierze udziału w ruchu obrotowym całego sklepienia niebieskiego. Właśnie wokół niej obracają się wszystkie gwiazdy. Ponieważ jeden pełny obrót Ziemi trwa dobę, więc całe sklepienie niebieskie wykonuje jeden obrót na 24 godziny.

Należy zrozumieć to dokładnie: ruch sklepienia niebieskiego (razem ze wszystkimi gwiazdami) nie jest ruchem rzeczywistym, lecz jedynie odbiciem ruchu obrotowego Ziemi. Dla mieszkańców Marsa (gdyby tacy tam byli), gwiazdą polarną byłaby zupełnie inna gwiazda.

Prawdziwe ruchy gwiazd są niesłychanie powolne, albowiem ich odległości są ogromne. Na przestrzeni kilkuset lat położenia gwiazd praktycznie nie ulegają zmianom, mimo że każda z nich pędzi z prędkością kilkudziesięciu km na sek. Nasze słońce i

Gwiazda Polarna — również. W związku z tym, jak również i zjawiskiem zwanym precesją, zmienia się także położenie biegunów niebieskich. Północny biegun niebieski wędruje np. po kole w gwiazdozbiorze Smoka. Mogę wam powiedzieć, że za 6000 lat gwiazdą polarną będzie Alfa Cephei, a po 12000 lat — jasna gwiazda Wega. Są to jednak sprawy tak odległe (jak wszystko w astronomii), że przez najbliższe 1000-lecie Gwiazda Polarna nadal będzie pełnić rolę „drogowskazu północy".

Jeśli chodzi o ostatnie pytanie, to wydaje mi się Wieśku, że coś poplątałeś, gwiazdozbioru „Kwoczka" w ogóle nie ma.

ST. BOROWIECKI

SPECJALNY WAKACYJNY TELEFON 28 77 21

— Proszę pana, słyszałem, że w Międzyszkolnym Parku „Agrykola", przy ulicy Myśliwieckiej, trwają „Wakacje Sportowe". Co to takiego?

— Są to zajęcia sportowe, prowadzone przez instruktorów, na boiskach i placach „Agrykoli". Uczestniczyć w nich mogą wszyscy warszawiacy, trzeba się tylko zgłosić do sekretariatu Parku i wciągnąć się na listę zajęć. Organizowane są mecze piłki nożnej, siatkowej, koszykówki. Dużym powodzeniem cieszy się też lekkoatletyka. Stroje i sprzęt na miejscu. Kto chce, może korzystać z posiłków (drugie śniadanie, obiad, podwieczorek) za minimalną opłatą. Instruktorzy organizują też wyprawy za miasto, do Puszczy Kampinoskiej. O tym wszystkim dowiesz się na miejscu.

— No to bardzo dziękuję za informacje. Sam pójdę i jeszcze kolegów namówię.

*

— Hallo! Mam problem. Chciałbym wypożyczyć namiot, ale nie wiem gdzie.

— Wypożyczalnia sprzętu sportowego mieści się w Warszawie, przy ulicy Podwale 19. Za pewną opłatą można tam wypożyczyć namiot, plecak, kocherы, śpiwory, sprzęt sportowy, buty, nawet rowery. Nie zapomnij tylko zabrać ze sobą legitymacji szkolnej. **(Z. P.)**

CZY RYBY MAJĄ GŁOS?

DO NIEDAWNA wszyscy byliśmy przekonani, że ryby nie wydają żadnych dźwięków. Świat głębin morskich porównywano do wielkiej pustyni milczenia.

Prawdę mówiąc, niektórzy ichtiolodzy nie byli absolutnie przekonani o ciszy panującej w wodach, ale niestety, swoich argumentów nie potrafili udowodnić. Po prostu ucho ludzkie, ani ówczesne aparaty akustyczne i mikrofony, nie chwytały... rybiej mowy.

Wiadomo jednak, że nauka nie stoi w miejscu: wymyśla się coraz doskonalsze aparaty i urządzenia. Dzięki nim, możemy dzisiaj powiedzieć, że podwodny świat wcale nie jest pustynią ciszy, że panuje w nim niebywały wrzask ultrasygnałów i ultradźwięków, wydawanych przez istoty morskie, w tym również ryby! Rzecz jasna, te sygnały można było zarejestrować dzięki superczułym mikrofonom. A więc ryby... mają głos! Brzmi to trochę szokująco, ale fakt jest faktem:

Uchwycone przez mikrofony sygnały naukowcy pragną też zrozumieć. I tutaj sensacja! Niektóre dźwięki wysyłane w przestrzeń morską przez ryby mają różne znaczenie! Rekiny na przykład w panice odpływają od pewnych ultrakrótkich sygnałów, do drugich natomiast podpływają! Dzięki temu odkryciu, można było zainstalować na niektórych plażach australijskich specjalne aparaty, wysyłające w przestrzeń wodną sygnały ultradźwiękowe, odstraszające rekiny. Ludzie mogą się więc spokojnie kąpać.

Warto jeszcze dodać, że rezultaty pracy ichtiologów mogą w przyszłości całkowicie zmienić warunki pracy rybaków. Jak twierdzą uczeni, za kilkanaście lat wystarczy wysłać w przestrzeń morską sygnały ultradźwiękowe, na przykład dla śledzi, aby zapędzić je prosto do sieci. Rybacy nie będą więc potrzebowali szukać ławic rybnych — przeciwnie, ryby będą szukać rybaków. **(ZP)**

CYTATY NA RATY

„Matko, w lesie są maliny.
Niechaj idą w las dziewczyny:
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze".

(Słowacki o malinach rzekł to w dziele „Balladyna")

„Tam na błoniu błyszczy kwiecie
Stoi ułan na widecie
A dziewczyna jak malina
Niesie koszyk róż".

(F. Kowalski tak napisał, przed stu laty to śpiewali, więc ty zanuć swej dziewczynie tę pieśń przy zbieraniu malin)

„Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach,
za to najsmaczniejszy..."

(Tak trzynastozgłoskowcem szepce nam do uszu Wieszcz nasz, Adam Mickiewicz, w „Panu Tadeuszu")

„W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody,
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody".

(Takimi to słowy piosnka się zaczyna Edwarda Odyńca „Panicz i dziewczyna". Moniuszko melodią dźwięczne dał dowody, że nasze prababki też rwały jagody).

Cytaty wybrali: W. CHOTOMSKA i W. BISKO

Technika i maszyna nie zastąpią sportowca

TECHNIKA wkroczyła do sportu. Na Stadionie Olimpijskim w Tokio, w czasie rozgrywania różnych konkurencji XVIII Olimpiady, skomplikowane maszyny elektroniczne oraz urządzenia teleradarowe przesyłały, odbierały i opracowywały informacje sportowe po to, by w niezwykle krótkim czasie zaprezentować je na tablicach świetlnych umieszczonych nad trybunami.

W zestawie maszyn i urządzeń mieścił się i pistolet startowy sprzęgnięty z zegarem odliczającym czas biegu Wiesława Maniaka i tablice ustawione w salach gimnastycznych. Aparatura telemetryczna wykorzystywana na treningach pozwala na przekazywanie drogą radiową wiadomości o zachowaniu się zawodnika w czasie biegu, w walce, w wysiłku sportowym. Jest to możliwe dzięki umieszczeniu na plecach sportowca, na piersiach, na nogach urządzeń pomiarowych, które przessane do ciała jak pijawki notują impulsy mięśni, rejestrują pracę serca, oddech, badają zmęczenie i następnie przekazują swe spostrzeżenia aparatem sterującym. Te, po zebraniu szczegółowych informacji i analizie, mówią biegaczowi, jak ma się zachować. Czy ma zwolnić, czy też przyśpieszyć bieg.

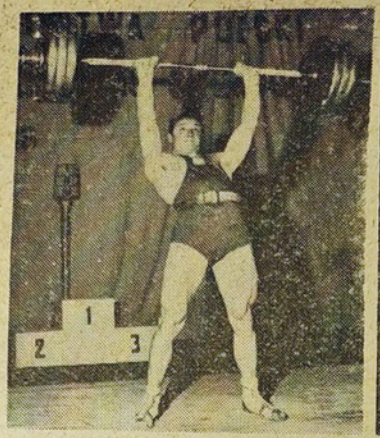

Norbert Ozimek podnosi ciężary, które niejeden nie ruszyłby z miejsca.

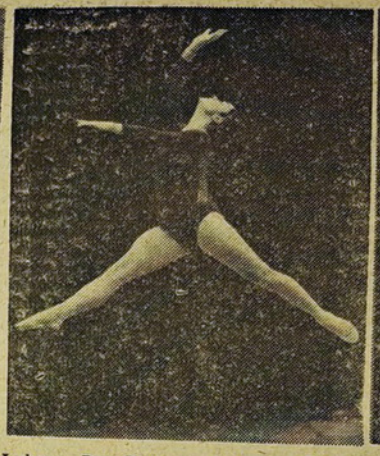

Lubow Paradiewa, mistrzyni ZSRR w gimnastyce artystycznej.

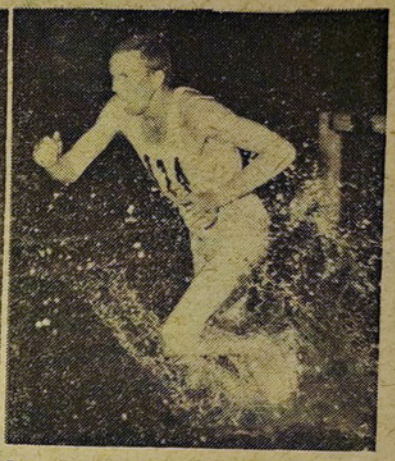

Ireneusz Dalecki skacze przez rów z wodą.

Aparaty pomiarowe, zbudowane zgodnie z prawami CYBERNETYKI, czyli nauki o sterowaniu, będą wiedziały o zawodniku okrążającym boisko więcej — niż on sam — będą mu pomagały poprawiać rekordy świata, będą kierowały tempem i taktyką walki, ale nigdy nie wyręczą człowieka.

Nie wyobrażam sobie Ewy Kłobukowskiej z atomowymi skrzydełkami przypiętymi do nóg, Ewy pędzącej na 100 metrów z szybkością 200 kilometrów na godzinę — bo przecież nie będzie to żadna zasługa Ewy, ale tych skrzydełek.

Nie będziemy się zachwycali potężnym wyrzutem ramienia Janusza Sidły, lecz atomowego silniczka odrzutowego przyczepionego do barku oszczepnika. **Jeżeli będziemy wiedzieli, że kulą pcha nie Władysław Komar, a mała maszyna zamontowana na plecach rekordzisty Polski, to właśnie będzie nam obojętne, czy tę maszynę nazwiemy pełnym imieniem i nazwiskiem człowieka, czy też technicznym znakiem X-WK.**

Sport ludzi zastąpiony przez maszyny przestanie być oczywiście sportem ludzi, a stanie się sportem maszyn w gruncie rzeczy obojętnych nam, prawdziwym miłośnikom sportu.

Uważam więc, że różne udogodnienia techniczne będą w sporcie wykorzystywane, ale do pewnej granicy, do momentu, w którym odezwą się wytrenowane mięśnie. Wtedy technika nie będzie miała nic do powiedzenia. Przestanie odgrywać jakąkolwiek rolę. Powtarzam że **wynalazki techniczne mogą pomóc zawodnikowi w poprawieniu rekordu w skoku o tyczce, ale tego rekordu nie ustanowią.**

Przyjrzyjmy się lepiej wspomnianemu skoczkowi o tyczce. Przed kilkunastu laty zawodnicy używali tyczek bambusowych lekkich i elastycznych, uginających się pod naporem ciała i wyrzucających skoczka do góry. Tyczki bambusowe miały jednak poważną wadę. Często się łamały. Powoli zastąpiono je tyczkami metalowymi zrobionymi ze stopów aluminium. Te tyczki okazały się lepsze. Były bardziej sprężynujące, trwalsze. Zawodnicy, którzy je stosowali, osiągnęli większe wysokości. Panowanie tyczek metalowych trwało jednak krótko. Wyparły je tyczki z włókien szklanych. Ich główna zaleta polega na tym, że pod ciężarem skoczka napinają się jak łuk i następnie prostują a skoczek zawieszony na ich końcu leci do góry niby pocisk. Dzięki tym tyczkom wyniki znacznie się poprawiły. Ale nie wszystkich zawodników. **Najlepszymi skoczkami w dalszym ciągu są ci, którzy mają najlepszą technikę, są najbardziej wytrenowani. Podobnie ma się rzecz z oszczepem.**

Nadawanie oszczepom bardziej aerodynamicznego kształtu sprawiło, że oszczepy lecą trochę dalej. **Rekordy należą jednak wciąż do zawodników silnych i szybkich.** Janusz Sidło był mistrzem w rzutach zwykłym drewnianym oszczepem i jest mistrzem oszczepów nowoczesnych. Swoje wyniki zawdzięcza jednak pracy i znajomości praw działania prądów powietrznych występujących akurat nad stadionem.

A jaką rolę odgrywają bieżnie robione coraz częściej z asfaltu pokrytego gumową, elastyczną powłoką? Ich zaleta polega na tym, że można je łatwiej pielęgnować, że nie niszczą się tak łatwo jak bieżnie robione z glinki i mączki żużlowej. Niewątpliwie na skoczniach gumowych skoczek w dal albo trójskoczek mają szanse skoczyć dalej. **Proszę tylko pamiętać, że te szanse będą mieli wszyscy i wygrają znowu najlepsi, najbardziej wytrenowani.**

Tak jest w każdej dziedzinie sportu. W skokach do wody deski drewniane zastąpiono deskami z tworzyw sztucznych, ciężkie pantofle sprinterów zmieniono na lekkie wygodne kolce, przyrządy gimnastyczne są ładniejsze, trwalsze, lepiej się na nich ćwiczy, lecz w dalszym ciągu ćwiczą najlepiej mistrzowie, zawodnicy, którzy nie żałują czasu spędzonego na treningi.

Powoli dochodzimy do momentu, w którym zaczynamy rozumieć, **że technika w sporcie jest nieznacznym dodatkiem, że bez sportowca nic nie znaczy.** Moje uwagi uzupełniam, rozszerzam spostrzeżeniami innych ludzi. Oto co mówi lekarz, teoretyk sportu Maciej DEMEL, naukowiec:

...w sporcie nowe drogi wytycza nie technika, lecz człowiek. Człowiek musi kroczyć przed techniką dzięki własnej odwadze i sprawności fizycznej.

A teraz głos ma Jan MULAK, trener:

...przewiduję w sporcie rozwój konkurencji szybkościowych w lekkiej atletyce i w pływaniu. Człowiek musi być mądry i wysportowany i na tyle romantyczny, że zawsze chętnie wstąpi na bieżnię.

Jeżeli mogę coś przepowiadać i przewidywać udział techniki w sporcie, to powiem, że w rekordzie zawsze będą decydowały i decydują nie gumowe bieżnie, lecz szybkie nogi i silne ręce.

No dobrze, a owe wspomniane na wstępie maszyny elektroniczne i urządzenia teleradarowe? One mogą pomóc sportowcowi, ale w ograniczonym zakresie. Pomimo uzyskania informacji jak ma się on w walce zachować, ostateczna decyzja, wybranie sposobu walki będzie należała zawsze do zawodnika.

Sport wynalazków technicznych nie odrzuca. Chętnie je wykorzystuje. Np. Michał Jazy chcąc sprawdzić, czy w czasie biegu ma prawidłowo ułożone ręce i czy technicznie dobrze stawia nogi na ziemi, posmarował je specjalnie świecącą farbą. Bieg Jazy'ego został sfilmowany. Wyglądał pięknie, a wielki zawodnik wyczytał ze świecących linii, że technika jego biegu jest dobra.

Widziałem najlepszych sportowców świata z bliska nie raz i nie dwa. Obserwowałem ich przed ciężkim startem i po wyczerpującej walce. Owinięci w dresy, ręczniki, przesiąknięte zwyczajnym ludzkim potem i zmoczone łzami radości i klęski, ukryci w szatniach stadionów badali tylko mięśnie, sprawdzali tylko nerwy, rozmyślali nad tym, co będą za chwilę robili i mierzyli wytrzymałość ścięgien, których nie mogła, nie może i nigdy nie zastąpi maszyna.

WITOLD DUŃSKI
Foto: M: Świderski

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. odacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-72-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00 kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 876. T-40

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24